

UPRAWIAJMY SWÓJ OGRÓDEK

Pracuję teraz nad nową opowieścią. Nazywa się „Kandyd, czyli optymizm” i jest to znany tekst Woltera. Bohaterowie – tytułowy Kandyd, jego nauczyciel Pangloss, który nauki swoje wywodzi z rozpoznania, że żyjemy na najlepszym ze światów, ukochana Kandyda i jej stara piastunka oraz wielu innych ludzi – przechodzą oni wszyscy przez najstraszliwsze zdarzenia, utraty, gwałty, niektórzy zostają nawet nadjeżdzeni. Łądują po tych burzach gdzieś pod Konstantynopolem, a hasłem ich życia staje się: „Uprawiajmy swój ogródek”.

Na końcu tego gładkiego zdania jest przecież nie kropka, ale pytajnik.

Co to właściwie znaczy: „Uprawiajmy swój ogródek”?

Nie wiem tego i żadna ekspercka odpowiedź mnie nie satysfakcjonuje. Nad naszymi głowami przetaczają się wielkie starcia polityczne i ekonomiczne, możni tego świata radzą w gabinetach, wojska wyruszają, granice są strzeżone; ludzie starają się nadal być kowalami własnego losu (szkoda, że są skazani na los żeglarzy), najświatlejszym z nas mylą się wiedza i opinie, najwięksi polecielei w kosmos na pięć minut, mniejsi radzą nad szkołą i jej schematami oraz nad tym, jak sadzić pomidory. Sprzeczności praktyki życia codziennego, ale też skala pytań, którym musimy sprostać – są nie do udźwignięcia.

Wioska jest dla mnie częścią tego zmagania. Ładnie byłoby napisać, że odnalazłam w czasie spędzonym w Węgajtach odpowiedzi na nurtujące mnie pytania i wróciłam w wewnętrznej równowadze.

Wróciłam z gigantyczną alergią (nie mogę spać w domu z kotami), we wstrząsie mózgowym wywołanym wypowiedzią Wacka Sobaszka o modelu chińskim i o zaletach towarzysza Xi, który ograniczył wynagrodzenia artystom. Wyszłam z prezentacji o Usnarzu, bo była ona przede wszystkim opowieścią o emocjach świadka (którego zaangażowanie i emocje szanuję), a jednak czarno-białą w moim odczuciu. Oznacza to, że towarzyszył mi w czasie Wioski gniew, z którym być może po prostu przyjechałam i nie należy on do Wioski, tylko do mnie.

Przywiozłam jeszcze obrazy pięknej wystawy Piotra Rogalińskiego i echa burleskowego koncertu Małych Przyjemności, w czasie którego śmiałam się jak zwierzę. I jeśli coś zasila ten ogródek, który mamy uprawiać – z pewnością jest to właśnie śmiech.

I to, co zwykle: przestrzenie, las, chodzenie, trochę tańców i odnowiony obraz republiki przyjaciół. Nie sądzę, by zmieniła ona świat. Nas – tak.

Małgorzata Litwinowicz



fot. Mateusz Raszewski